

Łukasz Maślanka: To nie kryzys, to rezultat

Polskie państwo jest obecnie dokładnie takie jak polska wspólnota obywatelska



Polskie państwo jest obecnie dokładnie takie jak polska wspólnota obywatelska

Prasa polska w ostatnich tygodniach nie szczędzi nam opisów tego, jak źle, niewygodnie i niebezpiecznie żyje się w naszym państwie. Zdecydowana większość tych opinii znajduje pokrycie w rzeczywistości, a racje przedstawiane przez pokrzywdzonych współobywateli brzmią przekonująco. Nie sposób uznać za przesadzone pretensji władz i mieszkańców miasta Szczucina, którzy, zmuszeni do wzięcia kredytu po zeszłorocznej powodzi, spłacają nim kredyt

zaciągnięty podczas podtopień roku 2009. Trudno nie solidaryzować się z obywatelami Nowego Warpna, kierującymi supliki do rządu, aby nie likwidował na terenie ich miasteczka urzędu pocztowego, który, po 20 latach reform, transformacji i restrukturyzacji, jest tam jednych z ostatnich śladów istnienia polskiego państwa.

Wszyscy lub prawie wszyscy cierpimy z powodu przestarzałych i źle funkcjonujących kolei, braku porządnej sieci drogowej. Przyjdzie czas, gdy odczujemy na własnej skórze niemoc systemu emerytalnego, ale wcześniej, po ukończeniu studiów, będziemy się zastanawiać, gdzie w tym kraju strukturalnego bezrobocia znaleźć godną pracę.

To apokaliptyczne *résumé* nie jest wstępem do kolejnej mniej lub bardziej błyskotliwej krytyki rządu Donalda Tuska, na którą popyt, po miesiącach niedomagań, zaspokajany jest w wystarczającym stopniu. Nie zamierzam też znęcać się nad Jarosławem Kaczyńskim i jego partią, która zaprzepaściła okres znakomitej koniunktury ekonomicznej pozostawiając kraj z 500 metrami nowych dróg. Chciałbym zastanowić się nad tym, jakie błędy popełniły polskie elity opiniotwórcze, że nasze państwo tak źle wywiązuje się ze swoich podstawowych zadań. Te refleksje są jednocześnie rozliczeniem z samym sobą – z mitami, którym zawierzyłem, z demagogami, kiedyś budzącymi moje zaufanie. Tytuł tego tekstu nie jest przypadkowy. Wypowiedziany przez Stefana

Kisielewskiego *bon mot* doskonale oddaje stan polskiej rzeczywistości, która została niestety wykreowana w dużej mierze przez poglądy ekonomiczne i dar przekonywania samego Kisielewskiego.

Po upadku socjalistycznego państwa opiekuńczo-represyjnego pozwoliliśmy sobie na zbyt długie odreagowanie. Uznaliśmy, że, skoro socrealistyczny etatyzm nie przyniósł rezultatu, wystarczy wprowadzić w Polsce wolność gospodarczą, a wszystko zrobi się samo. Uznaliśmy, iż kapitalizm sam zbuduje nam drogi i zapewni dostatnie życie. Utwierdzali nas w tym liberalni demagodzy, którzy, po odterminowaniu swojego w PZPR i przybudówkach, dostali się na prestiżowe stypendia na amerykańskich uczelniach, gdzie, w latach 80. królowała doktryna Milтона Friedmana, szkoły wiedeńskiej itd.

Gdy transformacja dała naszemu społeczeństwu pierwszego porządnego łupnia, wykształciły się dwie przeciwstawne opinie. Ludzie o poglądach Janusza Korwina-Mikke uznawali, iż wszystko jest winą wszechogarniającego nas socjalizmu. Z kolei populistyczna lewica w rodzaju Samoobrony narzekała na szalejący liberalizm. Skąd ta biegunowość? Czy wynika one jedynie ze skrajności reprezentowanych opinii? Chyba nie.

Na ciekawe wyłomaczenie tego problemu natknąłem się niedawno podczas lektury pewnego bardzo starego tekstu Cezarego Michalskiego. Michalski, komentując książkę « Postkomunizm » Jadwigi Staniszkis, opisuje polską rzeczywistość jako taką, w której budujemy skrajnie leseferystyczne struktury w ruinach państwa opiekuńczego. Sytuacja ta powoduje dysonans, który utrudnia właściwe zdiagnozowanie rzeczywistości – ustalenie prawdziwej przyczyny naszych kłopotów. W Polsce, pisał dalej Michalski, nie mamy państwa, gdyż jedne ministerstwa służą do obsługi interesów grup lobbystycznych, inne do socjotechnicznej obsługi elektoratu. Z drugiej strony nie ma też tutaj wolnego rynku, bo pewne grupy (związane najczęściej z dawnym systemem albo z kapitałem zagranicznym) były w chwili startu lepiej przygotowane do konkurencji. Odbija się to do dziś na strukturze naszego przemysłu, który można uznać za jedną wielką montownię nie produkującą zbyt wielu innowacji. Naturalną reakcją społeczeństwa jest zatem doszukiwanie się przyczyn kryzysu III RP w jednym z tych czynników (opiekuńczym państwie-zombie albo w patologicznych mechanizmach wolnego rynku).

O ile populistyczna lewica nie miała w Polsce nigdy zbyt wiele do powiedzenia (co najwyżej udawało się jej czasem coś wywalczyć za pomocą mechanizmów buntu społecznego), o tyle dyskurs pt. « więcej wolnego rynku » zadomowił się u nas na stałe. Polska prasa (salonowa i antysalonowa) zaroiła się od publicystów stylizujących się na nieco przaśne i niekoniecznie dobrze odbite kopie amerykańskich ludzi sukcesu (w naszych warunkach jednohektarowych rolników w celu uniknięcia płacenia na « sowieckie » ubezpieczenia) oraz angielskich

lordów (skupionych, przynajmniej, bardziej na sprawach kulturowych niż ekonomicznych). Przez całe lata dziewięćdziesiąte i dwutysięczne zajmowali się oni rzucaniem gromów na etatyzm, przyrost urzędników, ideę państwowej służby zdrowia, wyrzucanie pieniędzy w błoto (tj. zasiłki dla « zredukowanych » górników) i inne socjalistyczne fanaberie.

W ramach tej publicystyki wykształciło się kilka dogmatów, które spokojnie mogą w hierarchii III RP zająć miejsce zaraz obok dogmatu antylustracyjnego. Jednym z nich była tzw. « filozofia voodoo » głosząca, iż stosunek stopy podatkowej do rozwoju przedsiębiorczości ma charakter wprost proporcjonalny. Nikt (albo bardzo niewiele osób, którym oddaję tutaj szacunek) nie zadał sobie trudu rzeczywistej analizy historii rozwoju poszczególnych gospodarek. Mogłoby się bowiem okazać, że firmy (a na pewno wartościowe firmy) nie powstają wtedy, gdy im się obniży podatek z 30 do 19% dochodu, ale wtedy gdy zapewni im się odpowiednio wysoki poziom obsługi infrastrukturalnej, dostęp do dobrze wykwalifikowanej siły roboczej, zaplecze badawcze zagwarantowane przez nowoczesne i prężnie działające uczelnie wyższe, niski poziom korupcji (która przez obce firmy uznawana jest przecież za formę podatku!). Aby jednak to wszystko sfinansować, mogłoby się okazać, iż należało w Polsce wynegocjować (z naciskiem na to słowo w kraju arbitralnych decyzji chwilowych większości) zupełnie inny system podatkowy. Być może nie powinien mieć on w ramach jednego podatku « aż » trzech stawek, tylko stawek kilkadziesiąt, jak to jest we Francji czy w Szwajcarii.

Tych dogmatów było więcej: wśród nich teza o konieczności liberalizacji prawa pracy i konkurencji gospodarczej pomiędzy krajami europejskimi o podobnym co Polska poziomie rozwoju. Nasza prasa poświęcała sążniste artykuły temu, czy jakiś japoński albo amerykański koncern zbuduje fabrykę w Polsce czy w Czechach (i tutaj, w zależności od profilu ideologicznego wydawnictwa pojawiały się różne uzasadnienia: Gazeta Wyborcza pisała o tańszej, polskiej sile roboczej, a bardziej prawicowe periodyki o tym, że wojna, że zdrada sojuszników, że Powstanie Warszawskie i że nam się po prostu należy). Nikt (albo znowu: mało kto) nie zadawał sobie pytania, dlaczego polski kapitał nie może wygenerować własnej tego typu fabryki (choćby na takich zasadach, na jakich funkcjonuje czeska Škoda). Czy nie było możliwe na początku lat 90. (w ramach tak modnej polityki jagiellońsko-habsburskiej) porozumienie gospodarcze pomiędzy krajami postkomunistycznymi, które zakazywałoby dumpingu fiskalno-socjalnego? Czy naprawdę spowodowałyby to pogardę i niechęć zagranicznych koncernów do nieco bardziej opodatkowanego zarobku? A w zamian za to może udałoby się wybudować lepszą drogę, dzięki której pojazdy tych koncernów amortyzowałyby się korzystniej? Czy przypadkiem nie okaże się niedługo, iż nadmierna pobłażliwość władz w akceptowaniu nawiązywania stosunków pracy za pomocą bezskładkowych umów cywilnoprawnych (tj. umowy o dzieło) jest jedną z przyczyn kryzysu systemu emerytalnego?

W takim stanie ducha dotarliśmy do roku 2005, kiedy władzę w Polsce miała objąć nowa centroprawicowa większość. Abstrahując od moralnej kompromitacji, jaką było niezawarcie obiecanej Polakom koalicji, warto

przeanalizować ogólną tendencję w poglądach ekonomicznych. Otóż naciskano na « wyzwolenie energii Polaków » (w sytuacji, gdy, po kilkuletnim dołku, wzrost gospodarczy wynosił 5-6% rocznie) poprzez zmianę systemu podatkowego. Platforma Obywatelska, ze swoim hasłem 3x15, proponowała uproszczenie tego systemu za cenę przerzucenia większości obciążeń na najbiedniejszych (czyli tych, którzy wydają większość swoich pieniędzy na żywność). Jakoś nie wzbudziło w nas wielkiej refleksji to, czy naprawdę ujednolicenie stawek podatkowych jest takim wielkim udogodnieniem w czasach, gdy nawet do Polski dotarły już jakieś kalkulatory i komputery. Zajęci skandalicznymi zachowaniami eseldowskiej oligarchii nie zwróciliśmy uwagi na to, iż 3x15 jest drogą do dalszej oligarchizacji życia publicznego poprzez zmniejszenie redystrybucyjnej funkcji podatku. Prawo i Sprawiedliwość zaproponowało projekt rozsądniejszy (18 i 32%) jednak i ta partia uległa psychozie spłaszczania jednych oraz likwidowania innych danin, co pokazała praktyka jej rządów.

A przecież doskonale było wiadomo, że dopiero co wstąpiliśmy do Unii Europejskiej, i że będą potrzebne pieniądze na pokrycie części kosztów inwestycji. W kolejnych kampaniach wyborczych, ciągle stosowano fetysz niższych podatków, « drugiej Irlandii », unowocześnionego konceptu « od pucybuta do milionera », gdzie za pastę do butów wszedł angielski zmywak. Nikt nie zwracał uwagi na coraz większe obciążenia samorządów (które realizują *gros* inwestycji unijnych i ponoszą sporą część ciężaru wynikającego z niżu demograficznego wśród uczniów), na konieczność realizacji pewnych inwestycji, na zwiększające się

problemy polskiego systemu emerytalnego (tym bardziej przerażające, że jesteśmy ciągle bardzo młodym społeczeństwem, co będzie, kiedy dorównamy Włochom?).

Kiedy SLD dochodziło do władzy w 2001 roku, miałem 15 lat. Nie interesowałem się za bardzo polityką, ale dochodziły do mnie echa pewnych dyskusji. Zapamiętałem wielką awanturę związaną z pomysłem wicepremiera Marka Pola na wprowadzenie winiet samochodowych, które miałyby finansować rozwój polskiej sieci drogowej. Pola o mało nie doprowadzono wtedy do dymisji. Dziś jednak, kiedy słucham wiadomości o kolejnych wykreślonych inwestycjach i kolejnych śmiertelnych ofiarach polskich dróg, zastanawiam się, czy aby nie popełniono wtedy dużego błędu. Oczywiście, rządy SLD niosły ze sobą wielkie ryzyko, iż pieniądze te zostaną zmaltersowane. Polska lewica postkomunistyczna zrobiła bardzo wiele, aby zniechęcić naszych współobywateli do etatyzmu. Ale tamta awantura antywinietowa była jednak antypaństwową hucpą i to także w wykonaniu tych środowisk, które o państwie podobno myślą na poważnie. Winiety były pierwszym symptomem tego, iż elity polityczne, za zgodą wyborców, dokonują pewnego wyboru ideowego, zgodnie z którym będzie się u nas preferować nierówną prywatyzację zysków z kapitalizmu nad wielkie projekty ogólnospołeczne. Bo winiety, przy uwzględnieniu faktu, iż istotnie są pewnym obciążeniem dla budżetu domowego, to jednak podatek celowy, czyli obywatelski. Masowy sprzeciw Polaków przeciw niemu był aktem woli, zgodnie z którym godzimy się na to, aby były u nas złe drogi albo drogie drogi Kulczyka tam, gdzie mu się opłaca je zbudować. I nie oszukujmy się, że jest inaczej.

Pretensje, które kierujemy do polityków są słuszne, ale sami również jesteśmy sobie winni. Teraz pewien potencjał socjotechniczny liberalnego państwa sukcesu się wyczerpuje. Donaldowi Tuskiowi pozostało już tylko szantażowanie wizją powrotu do władzy Jarosława Kaczyńskiego, a ten ostatni nadal głosi swoje mantry o silnym państwie, choć za jego rządów nasze państwo nie było silne ani przez minutę. Bo żaden z polskich polityków nie ma odwagi powiedzieć, że silne państwo kosztuje. Że podatki trzeba będzie w Polsce podwyższać, a nie obniżać. Że istnieje pewna grupa inwestycji, których niezrealizowanie sprawi, iż Polska pozostanie antyrozwojowym skansenem. Choćbyśmy w ogóle zlikwidowali wszelkie daniny publiczne.

Jesteśmy winni naszej naiwności. Zawierzyliśmy tym publicystom i ekspertom, którzy dzisiaj bardzo chętnie krytykują rząd, a wcześniej sami przyczynili się do jego demoralizacji. Tłuczeniem do głowy liberalnych dogmatów sprawili, iż pewnych rzeczy Polakom mówić nie wypada. To z ich winy podnoszenie obciążeń fiskalnych dokonuje się teraz w Polsce bez debaty, bez konsultacji społecznych, ukradkiem i często w sposób uderzający w najuboższych. Oczywiście, takimi ukradkowymi podwyżkami wiele się załatać nie da. Rząd Donalda Tuska wynalazł « świetny » sposób na zaradzenie temu problemowi: outsourcing i prywatyzacja. Nie zdradza już jednak, iż outsourcing i

prywatyzacja oznacza często w naszych warunkach zastąpienie instytucji polskiego państwa instytucją innego państwa. Czy to jest droga do sukcesu? Czy tak ma wyglądać polska modernizacja?

Polskie państwo jest obecnie dokładnie takie jak polska wspólnota obywatelska. Politycy działający w naszej odmianie demokracji nie będą mieli odwagi tego powiedzieć, ale sami doskonale to wiedzą i z tego korzystają. Nie dorośliśmy do tego, żeby funkcjonowało lepiej i sprawniej, bo nie potrafimy sobie wyobrazić, że będzie to wymagało naszych osobistych poświęceń i ograniczenia wolności.

Ciągle jest szansa, aby to zmienić. Zgódźmy się na to, że przeciętny Polak będzie mógł później sobie pozwolić na własny samochód, ale w zamian będziemy mieli przyzwoite koleje. Niech zamożniejsze rodziny pogodzą się z tym, że nie wyślą swojego dziecka do szkoły prywatnej, ale zapłacą większy podatek, z którego zostanie utrzymana szkoła w małej i ubogiej gminie. Wprowadźmy system, w którym odpłatność za studia dzienne zależy od dochodów rodziców (lub własnych). Pójdźmy na lokalne referendum i zagłosujmy na « TAK » jeżeli nasz wójt, burmistrz czy prezydent (który wywiązuje się ze swoich obowiązków, a przecież jest wielu takich) poprosi o podwyższenie podatków, aby sfinansować jakieś ważne dla społeczeństwa przedsięwzięcie. Pytajmy

również polityków ogólnopolskich, jaki mają pomysł na zwiększenie przepływów finansowych do samorządów, w celu zaspokojenia ich uzasadnionych potrzeb.

Jednak sytuacja, w której drenuje się ludzi zamożniejszych, nie dając im nic w zamian, nie jest satysfakcjonująca. Dobrym rozwiązaniem wydaje się tutaj szwedzka koncepcja państwa socjaldemokratycznego, to jest takiego, w którym pewne świadczenia i usługi publiczne są dostępne dla wszystkich, niezależnie od uzyskiwanych dochodów. Taki system zwiększałby wydatnie poziom akceptacji osób lepiej sytuowanych dla państwa opiekuńczego i sprzyjałby niwelowaniu pewnych elitarystycznych absurdów, których w Polsce przez ostatnie 20 lat nie brakowało (warto przypomnieć, że w samej Warszawie jest obecnie 200 strzeżonych osiedli – od tego tylko krok do powstania miast prywatnych). Oczywiście byłoby takim samym absurdem twierdzenie, że nagłe zwiększenie redystrybucji, bez zmian strukturalnych w polskiej gospodarce, które czyniłyby ją bardziej konkurencyjną, doprowadzą w Polsce do wykształcenia się modelu skandynawskiego. Ale i on nie powstał w jeden rok.

Z drugiej strony, należałoby opracować taki system finansowania potrzeb państwa, który generowałby mniej kosztów technicznych i mniej patologii. Myślę, że winieta (czyli idea podatku zadaniowego, i to na kilka lat zanim stał się modny budżet zadaniowy) jest dobrym

tropem. Konieczne jest zadbanie o prawdziwą politykę antykorupcyjną (przynajmy, że rząd PiS-u był pierwszym i ostatnim narazie, który podszedł do tego problemu poważnie). Nie należy też ulegać psychozie, zgodnie z którą obrona obecności polskiego państwa w energetyce, na kolei czy na poczcie ma polegać na spełnianiu wszystkich zachcianek związków zawodowych. Organizacje związkowe są w Polsce bardzo słabe, ale nie dlatego, że nie potrafią niczego wywalczyć, tylko dlatego, iż nie traktuje się ich, tak jak to jest we Francji czy w Szwecji – jako jednego z filarów i współdecydentów ustroju ekonomicznego. Pozycja taka zmusza związkowców do wzięcia pewnej części odpowiedzialności za los reprezentowanych załóg, zakładów oraz całości gospodarki. Marginalizacja i brak tej odpowiedzialności prowadzą często w naszych realiach związkowych do patologii, wysuwania nierealistycznych żądań czy realizowania ambicji politycznych kosztem właściwej działalności syndykalnej (nie zapomnę Rafała Ziemkiewicza, który pod wpływem posmoleńskiego wzruszenia wysuwał kandydaturę Janusza Śniadka na urząd Prezydenta RP). Co możemy zrobić, aby zmienić tę sytuację? Zapisujmy się do związków! Twórzmy je w naszych miejscach pracy i nauki. Wymuśmy ich demokratyzację oraz zwiększenie roli społecznej.

Benito Mussolini powiedział kiedyś, że rządzenie Włochami nie jest niemożliwe, ale jest bezcelowe. Polskie społeczeństwo, w swoim niezdrowym indywidualizmie, kulcie stosunków rodzinnych, braku instynktu społecznego i nieufności do państwa trochę Włochów przypomina. Nie zapominajmy jednak, że, inaczej niż Włochy, które zjednoczyły się w połowie XIX wieku, nie mamy tradycji państwotwórczych z czasów, kiedy nowoczesna świadomość się kształtowała. Pozostaje się tu tylko zgodzić z Jarosławem Kaczyńskim,

który powiedział w czasie kampanii prezydenckiej, iż nie da się w Polsce rządzić bez stosowania pewnych elementów konstruktywizmu społecznego. Warto jednak, aby te działania były nakierowane na modernizację, kształtowanie prawdziwego poszanowania państwa (nie tylko jego symboli i bohaterów, ale także tak przyziemnych instytucji jak koleje czy poczta). Polscy politycy, za przyzwoleniem elit, zbyt długo dostosowywali się w swoim przekazie do poziomu emocji społeczeństwa zapominając, iż w warunkach państwa postkolonialnego ważny jest przykład i przekaz edukacyjny idący z góry. To moralizatorstwo musi mieć jednak na uwadze realne interesy wszystkich obywateli, a nie tylko reprezentowanej przez siebie grupy interesów. Takich « sitwowych » moralizatorów mieliśmy bowiem w Polsce wystarczająco dużo począwszy od lat 90.

Państwo polskie wymaga głębokiej przebudowy swojego ustroju społecznego i gospodarczego. Wracając do poetyki Michalskiego i Staniszkis, musimy ostatecznie pozamiatać ruiny socrealistyczne i uporządkować dziki liberalizm, który się u nas rozpanoszył. Na miejsce tego bałaganu należałoby u nas stworzyć (to nie jest zbyt mocne słowo w tym kontekście) solidne fundamenty nowoczesnego ustroju socjalnego oraz rynku, do którego łatwiejszy dostęp będą mieli także ubożsi. Czy dokona się to na wzór niemiecki (ordoliberalny) czy skandynawski (socjaldemokratyczny) jest sprawą wtórną. Moim zdaniem dla dotkniętego patologiami i państwowotwórczą niemocą polskiego społeczeństwa lepszy byłby system bardziej egalitarny i

wspólnototwórczy. Nie jestem ekonomistą ani socjologiem – całkiem możliwe, że wiele rzeczy tu wyżej przedstawionych, zostało napisanych w sposób niezdarny i nieprecyzyjny. Ale jest w Polsce wystarczająco dużo specjalistów, którzy mogliby to zrobić lepiej. Tylko być może należy przestać dopuszczać do głosu wciąż tych samych.

Łukasz Maślanka